

Wszystkie moje wariatki

Chronologicznie rzecz biorąc Adela H. była moją pierwszą wariatką. Wariatką w tym sensie, w jakim pospólstwo mówi o kobietach dziwnych, niezwykłych, szalonych. Zobaczyłam ją podczas pierwszych samodzielnych wakacji w Mielnie w kinie zapewne „Fala” albo „Bałtyk”, z którego wypuszczano widzów wprost na zabite dechami i mocno zabłocone podwórko. Pamiętam ten szczegół wyraźnie po trzydziestu latach, bo tak ewidentnie kontrastował z XIX-wieczną scenerią filmu, że trudno było się przestawić z tamtej filmowej rzeczywistości na prząsny socrealizm. Film miał już wtedy dwa lata (rok prod. 1975) i w rodzimym kraju dawno już o nim zapomniano; u nas – najświeższa nowość przetestowana przez zacnych cenzorów. Pamięta ktoś słynne „Konfrontacje” czyli przeglądy światowych filmów, w miarę świeżych, w tym aż dwóch amerykańskich? Bilety na nie można było kupić głównie u „koników” za bająnskie sumy, a już po dwóch – trzech latach i resztę gawiedzi dopuszczano do świątyni sztuki, gdy za żelazną kurtyną nikt już o nich nie pamiętał.

Na Adelę H. czekałam aż dwa lata, znałam ją wcześniej z recenzji i zwyczajnie zagięłam na nią parol. Jakie wrażenie mógł taki film zrobić na szesnastolatce? Szczerze – nie pamiętam, ale sądząc po późniejszych efektach na pewno pogłębił sympatię do wariatek, zakodował model miłości romantycznej i utwierdził w przekonaniu, że kochać bez wzajemności to nie hańba dla osoby kochającej, a bardziej dla żalosego obiektu wielkich uczuć. Czyli wielka l'amour – tak, małe pętaki – nie! A zawsze obok takich indywidualności pętają się jakieś pętaki.

Spójrzmy na Adelę, z domu Hugo, córkę t e g o Hugo. Pięęęęę... do bólu! Do poświęceń skłonna i do buntu przeciw rodzicielom, a to w XIX wieku nie takie częste i proste. W pewnym momencie wypowiada takie swoje marzenie: „Urodzić się z nieznanego ojca...”. No, właśnie. Podobne marzenie miała szalona Łucja, córka Jamesa Joyce'a, utalentowana, ładna i nieszczęśliwie zakochana w depresyjnym ponuraku, Samuelu Beckett'cie (wiem to z interesującej sztuki w reż. Magdy Piekorz w krakowskim teatrze Słowackiego „Łucja Szalona”). Pisarze nie mają głowy do dzieci, zwłaszcza swoich.

Tymczasem Adela w filmie „Miłość Adeli H.”, który dziś po 30 latach obejrzałam na kanale „Ale kino”, ma piękną i młodziutką twarz Isabelle Adjani. Wyobrażacie sobie, że miała tylko 20 lat, gdy uniosła taką trudną psychologicznie rolę? Tylko że ona urodziła się do takich ról. Potem jej twarz miała Emily Brontë w filmie o trzech siostrach pisarkach, wreszcie jej twarz miała Camille Claudel i królowa Margaux. Wszystkie te role to wielkie kreacje (w przeciwieństwie do płaskich ról współczesnych kobiet, w których obsadziło ją Hollywood). Zatem niech żyje Isabelle, niech żyją wariatki!

Aneks do wariatek

Dokąd trafiały najczęściej wariatki z Paryża? Do Salpêtrière, XVII-wiecznego, najstarszego w Europie zakładu dla psychicznie chorych z ośmioma tysiącami internowanych (w mieście liczącym zaledwie pół miliona mieszkańców!), co powodowało, że trzy, cztery kobiety zmuszone były spać w jednym łóżku. Szczególnie ważną część szpitala stanowił La Sain Maison de Correction, oddział dla występnych młodych kobiet, właściwie jeszcze dzieci. W La Correction zamykano młode dziewczęta zdiagnozowane jako „perwersyjne” lub „zdegenerowane”. Internowano je na prośbę ich własnych rodzin, kierowaną do króla albo administracji Hospice Général. Rodzice, a w wielu wypadkach sąsiedzi, wysyłali pismo, w którym czarno na białym dowodzili, że te zdeprawowane dziewczęta są ciężarem dla rodziny, sąsiadów i sieją powszechne zgorszenie. Dziewczynki zatem, ku poprawie, umieszczano w La Correction w Salpêtrière. I jak szybko zauważano u nich symptomatyczne „drgawki!”. Chodzi tu o modną w XIX wieku histerię, leczoną w tymże szpitalu poprzez hipnozę przez niejakiego Jeana Martina Charcot, uważanego za ojca neurologii i psychiatrii. Seanse prowadzone przez niego w specjalnej sali dla publiczności były tyleż niezwykle, co dziwaczne i prowadziły raczej do wzmocnienia objawów i uzależnienia pacjentek od lekarza. Co ciekawe, po jego śmierci – histeria wśród Francuzek zanikła...

Jedną z jego pacjentek była Blanche Wittman, późniejsza asystentka i przyjaciółka Marii Skłodowskiej-Curie. Charcot był jedyną miłością jej życia skróconego przez promieniowanie radu. Ich losy opisuje Per Olov Enquist w genialnej „Opowieści o Blanche i Marie”. Kobieta-naukowiec w tej książce to spragnione uczucia stworzenie gotowe poświęcić reputację i drugą nagrodę Nobla dla miłości; Blanche - „kadłubek” bez nóg i lewej ręki, który kiedyś był piękną kobietą do końca żyjącą miłością do Charcota i do życia. „Któż potrafi wytłumaczyć miłość? Lecz kim byśmy byli, gdybyśmy nawet nie próbowali”, powiada. Książka próbująca jak Charcot dotrzeć do istoty kobiecości i wytłumaczyć miłość, znaleźć wzór chemiczny na jedno i drugie.

Tymczasem Salpêtrière... ta przerażająca „stacja końcowa, śmietnisko. Twierdza szaleńców, twierdza kobiet, twierdza odtrąconych dla tych, którzy stracili nadzieję.”* I mała zakładka w pamięci: migawki w TV sprzed 12 lat, karetki, policjanci, sanitariusze i księżna Diana po wypadku właśnie tam, w Salpêtrière kończy swoje prywatne próby poszukiwania odpowiedzi na pytania o miłość, życie i śmierć. Czy sto lat wcześniej mogłaby trafić tam z etykietką „histeryczka”? Mogłaby. Wszystkie niemal więźniarki z tamtych czasów dręczył ten sam głód, co i ją, toteż ich ciała skrzętnie zakuwano w kajdany i rzucono na pożarcie szczurom. Wszystko, byle nie wolność. Wszystko, byle nie miłość. Zaledwie sto lat temu, w samym środku cywilizowanej Europy, po Wolterze i Diderocie. A co Dianie oferowało małżeństwo z księciem z innej bajki? Wszystko, byle nie wolność. Wszystko, byle nie miłość. Zaledwie parę lat temu, w środku Europy, na oczach wszystkich. Bajka ze złym zakończeniem. Bo dla dziewczynek nadal najlepszy jest Kopciuszek, prawda?

*wszystkie cytaty z „Opowieści o Blanche i Marie” Pera Olova Enquista